

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 158
lipiec 2002

W numerze nie są zawarte:

- RELACJA Z TELEPORTU 2002
- SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA ZARZĄDU GKF
- RECENZJA Z CYKLU W „NASTĘPNYM WIEKU”
- MARCHOŁTOWA DUMKA JACKA INGLOTA
- i WIELE INNYCH...
(co jest grane?!)



WAKACYJNY WSTĘPNIAK NA LUZIE

W „lipcowcu” postanowiłem się nie rozpisywać; tym bardziej, że wewnątrz numeru zamieszczam większy tekst z okazji PRL-owskiego święta wedlowskiej czekolady (22.VII). Poza tym wakacje rozleniwiają... Szkoda tylko, że wyczuwam już koniec lata – i to zanim jeszcze zdążyło dotrzeć do mej świadomości, iż ono przyszło! Cóż... Przy naszym tempie życia tygodnie umykają jak dni, miesiące jak tygodnie, a lata – jak miesiące...

Lenia mam takiego, że nie chce mi się nawet jechać do Trójmiasta na nową ekranizację *Wehikułu czasu*. Może to zresztą nie tylko lenistwo? Uwielbiam prozę Herberta George’a Wellsa, zwłaszcza jego dwa arcydzieła (*Wojnę światów* i *Wehikuł czasu* właśnie). Odkryłem te powieści jeszcze w liceum – i do dziś nie zmieniłem o nich zdania. Podobnie jak późniejsza twórczość Lema – dzieło Wellsa jest przykładem fantastyki zastanawiającej się nad istotą człowieczeństwa. „Skąd przychodzimy?” „Kim jesteśmy?” „Dokąd zmierzamy?” W *Wojnie światów* widzimy ludzkość pozbawioną swej przewodniej roli na naszej planecie. W *Wehikule czasu* – obserwujemy żałosny zmierzch gatunku ludzkiego. Te powieści ciągle robią wrażenie; choć wiemy, że w początkach ubiegłego wieku nie najechali nas Marsjanie, a uzasadnienie ewolucyjnego podziału ludzi na dwa zdegenerowane gatunki – brzmi dziś dość naiwnie. Wstrząsające jest przesłanie tych utworów, porywające są zawarte w nich wizje, znakomita jest ich kompozycja fabularna! Nie miały one szczęścia do filmowców: obie klasyczne adaptacje Pale’a bardzo uprościły (wręcz sprymityzowały) zawarte w nich przesłania, zaś podjęte w nich próby „uwspółcześnienia” (*Wojna światów*) czy „uoptymistycznienia” (*Wehikuł czasu*) – zburzyły precyzyjną strukturę fabularną. Na temat najnowszej wersji *Wehikułu* też nie dotarły do mnie pochlebne sygnały (poza, oczywiście, efektami specjalnymi) – mimo faktu, iż twórcą filmu jest „późny wnuk” pisarza, a w obsadzie pojawia się ponoć sam Jeremy Irons (co mnie zaintrygowało: nie jako Podróżnik w Czasie, lecz... jako jeden z Morloków!).

Na razie więc wybieram się niedaleko: idziemy z Żoną spacerkiem na wejherowski Rynek, gdzie pod ratuszem zagra jazzowy kwartet Jarosława Śmietany... Pa!



URODZINY

Szanownym wrześnieowym Jubilatom
długiej pogodnej jesieni z „PZU – Życie”
(bynajmniej nie w jednej celi z eksprezesem tegoż)

życzy

redaktor odpowiedzialny
„Informatora GKF”

- | | | | |
|----|----------------------|----|----------------------|
| 1 | Mariusz Rostankowski | 16 | Anna Martuszevska |
| 3 | Michał Józwiak | | Piotr Rusin |
| 4 | Marek Falkowski | | Piotr Strzelec |
| 5 | Piotr Adrian | 18 | Łukasz Płonowski |
| 6 | Sebastian Gęza | 21 | Maciej Bulanda |
| 8 | Magdalena Tyszecka | 25 | Jarosław Ponichowski |
| 10 | Piotr Sierociński | 27 | Remigiusz Kaczewski |
| 12 | Grzegorz Szczepaniak | 28 | Piotr Okrój |
| 13 | Dominik Gaworczyk | | Magdalena Wiczyńska |
| | Rafał Ziemkiewicz | 29 | Mariusz Kanabrodzki |
| | | | Janusz Piszczek |



...tu miała się znaleźć relacja z Teleportu 2002 – niestety,
PT Autorzy nie dostarczyli nam nawet dwóch zdań
(widać padli z wycieńczenia bądź reanimowani są na wczasach)

ZABÓJCZY TELEPORT



EuroCeti ✧

„Kupię tobie hot-doga i będę szydził na sieci”
Michael „Watch the telewizors” Kozina

W miniony czwartek zerwałem się o świcie, by udać się na lotnisko i polecieć na Mistrzostwa Europy. Na Okęciu spotkałem się z polskim teamem (wyjawszy Obera, który pojechał wcześniej), Kubą i bardzo długą kolejką. Polska jak zwykle wyróżnia się w skali świata nietypowym zwyczajem prześwietlania bagażu przed check-inem. To dodało trochę emocji naszemu wyjazdowi, bo nie byliśmy pewni, czy zdążymy na samolot. W końcu się jednak udało wsiąść do pojazdu i dwie godziny później wylądować w mieście....

amsterdam

Amsterdam jest miłym, ciekawym miastem. Ważną zaletą jest wielkość centrum, gdyż wszędzie można dostać się szybko i łatwo na piechotę, oczywiście jeśli nie wpadnie się pod bezszelestny rower czy tramwaj na wąskich uliczkach. Niestety, Amsterdam jest też miastem drogim – najtańsze posiłki to przynajmniej 8-10 euro, i niekoniecznie jest to wystarczająca porcja (szczególnie dla kogoś o mojej posturze).

Wśród głównych atrakcji nie można nie wyróżnić sławnych Coffeeshops, gdzie z reguły można dostać kawę (choć w tym gdzie ja byłem, nie mieli). Drugą atrakcją jest oświetlona na czerwono dzielnica, w której określenie „panienka z okienka” nabiera nowego znaczenia. Muszę jednak powiedzieć, że widziałem dużo ładniejsze Holenderki w dzień niż wieczorem w oknie. Pewną „atrakcją” dla nas była też ulica dilerów („koka, extasy”), którą omijaliśmy szerokim łukiem po zmierzchu.

Bez wątplenia największymi zaletami Holandii jest wysoka znajomość języka angielskiego wśród mieszkańców kraju, jak również ich pogodne podejście do życia okazywane licznymi uśmiechami na twarzy.

W czasie naszego zwiedzania (no i pracy sędziowskiej) naszą bazą wypadową był....

hotel

Ktoś miał świetny pomysł – zamienić prom w hotel. Szkoda, że nie pomyślał o tym, że kabiny są małe, a łazienka wręcz ciasna. Obsługa nie była zła, choć wyrzucenie nas z baru hotelowego było trochę absurdalne.

Oczywiście, ważniejszym niż hotel było samo....

venue

Turniej odbywał się w Beurs van Berlage, w którym książę William Alexander brał ślub zaledwie cztery miesiące wcześniej. Sala na pierwszy rzut oka robiła świetne wrażenie. Niestety, mijало ono w zestawieniu z rzeczywistością. Po pierwsze stoliki do draftów były rozstawione po obwodzie sali w bocznych nawach. Było bardzo ciasno i, po zajęciu miejsca przez graczy, nie dało się przejść. Na dodatek stoliki te miały służyć side-events, więc do czasu zakończenia drugiego draftu nie można było rozpocząć dodatkowych turniejów.

Wśród flag dekorujących salę zabrakło polskiej i walijskiej, ponoć nie można było jej dostać w porę – zobaczymy, czy zdążą za rok.

Pierwszy dzień turnieju wypadł w....

piątek

Pierwszy dzień w tym roku, to booster draft – draft#1, 4 rundy, draft#2, 3 rundy. Przy otwieraniu pierwszych boosterów okazało się, że użyto niewłaściwego tuszu i wszystkie karty były znaczone. Poza tym karty się posklejały i dużo osób zgłaszało niepełne boostery. Odkręcenie tej sytuacji zajęło masę czasu i zmusiło WotC do sprezentowania wszystkim graczom darmowych koszulek na karty. Po długim opóźnieniu udało się w końcu wystartować turniej. Nie pamiętam, jaka późna to była już godzina. Drugi draft nie przebiegał wiele lepiej,

a na nogach ciężko już było ustać – zarówno gracze, jak i sędziowie wykazali niebywałą niekompetencję, przez co draft był często wstrzymywany.

Jako sędziemu z wysokim poziomem (trzecim), ale stosunkowo małym doświadczeniem na tym poziomie (dwa lata) – powierzono mi jedną z pięciu grup sędziów, trzy inne były prowadzone przez kandydatów na trzeci poziom, członkami byli sędziowie oceniający ich pracę.

Nie przypominam sobie żadnych ciekawych sytuacji z tego dnia. Z tego też powodu nie przeprowadziłem odprawy dla swoich sędziów po pierwszym dniu pracy, w odróżnieniu od innych sędziów – osobiście preferuję na bieżąco komunikować różne rzeczy moim sędziom.

Po tym ciężkim dniu udaliśmy się na spoczynek, by wstać w ...

sobotę

Ten dzień zapowiadał się znacznie łatwiej, gdyż była to część Standard. Tu nawet wydarzył się jeden ciekawy incydent, gdy znaleziono talię, w której większość czarów była umieszczona w nowych koszulkach, a wszystkie landy w starych. Po rozmowie z graczem doszliśmy do wniosku, że nie próbował on oszukać, tylko zrobił bardzo głupi błąd, za co zapłacił Match Loss'em. Dodam, że rozmowa była prowadzona w językach angielskim i polskim.

Oczywiście – cały czas dopingowaliśmy naszych: kiedy Przemek Wołowicz wygrał z mistrzem Niemiec (Kai Budde), to zaświtała nadzieja, którą zmiądzzył Kevin O'Conner (Anglia). W trzeciej grze meczu Przemek zaryzykował, ale nie powiodło mu się. Z drugiej strony Sierot sycił cały dzień, lecz poległ w ostatniej rundzie kończąc dzień wynikiem 6-1.

Tego dnia odwiedziliśmy reprezentację Polski w ich pokoju hotelowym. Przywitał nas widok jednego z zawodników w bardzo ciekawej pozie, choć nie kryje, że ja również wyglądałem ciekawie, gdy zdecydowałem się zdrzemnąć na łóżku. Te chwile snu pomogły mi, gdy nadeszła....

niedziela

Dzień finałów – Mistrzostw Europy i Mundialu. Mnie wypadło sędziowanie półfinałów. Wprawdzie spóźniłem się na pierwszą grę meczu (nie zasnęłam, lecz miałem inne obowiązki), ale sędziowałem kolejne trzy walki pomiędzy Christophe'm Haimem a Marcosem Lombardi. Brak klimatyzacji w sali dał się tu najbardziej odczuć; trudno było wytrzymać pod reflektorami, których światło było wymagane przez kamery telewizyjne.

Jedynym wybawieniem był mecz Brazylia – Niemcy, podczas którego zrobiono dwugodzinną przerwę. Z drugiej strony przerwa ta spowodowała znaczące opóźnienie. Finału Mistrzostw Europy już nie oglądałem, jakoś nie miałem nastroju. Poszedłem natomiast na tył sali, gdzie siedzieli...

artyści

Na miejscu byli Scott Fischer i John Avon – obydwójce znakomici i znani. Pogawędziłem sobie szczególnie z tym pierwszym, zwłaszcza że do podpisu miałem nie karty, ale podręcznik do D&D (Deities & Demigods); i choć żaden z nich ich nie ilustrował, to zgodzili się maznąć w nim co-nieco. Scott wyjawiał mi, że przy tworzeniu Book of Vile Darkness, nie mieli ograniczeń co do zawartości rysunków – nie mogę się doczekać, aż ją dostanę.

Co dalej

Gdy okazało się, że nie będzie tradycyjnej kolacji dla sędziów, udaliśmy się do restauracji by spożyć jakieś ciepłe danie, a następnie poszliśmy do wymienionego wcześniej baru hotelowego napić się piwa i poczęstować innych sędziów Żubrówką. Chciałbym zaznaczyć, że wcześniej pytaliśmy się o zgodę i zamawialiśmy inne rzeczy z baru, więc historyczna reakcja kelnerki była nie na miejscu.

Następnego dnia lekkie zwiedzanie i powrotny lot.

Adam „Ceti” Cetnerowski

* jeżeli PT Autorowi nie podoba się tytuł – niech na przyszłość sam wymyśla lepsze.

KOCZKODŁAK Z EUROCONU

Oj, ciężko być Przewodasem we własnym kraju. A to ktoś w tytulaturze uchybi, insynuując, że Przewodas Tysiąclecia, podczas gdy prawidłowo powinno być PRZEWODAS DWÓCH TYŚĄCLECI! A to znów inny pisarzokrytyk, popełniwszy miążdzącą recenzję z własnej książki, przez pomyłkę wpisuje tam tytuł mojego „Ramzesa”. Ot, drzazga w Przewodasowym oku, a we własnym masz z chorągiewką... A jeszcze grafomani bojkotują i fałszywi przyjaciele się obrazili. Przez te towarzyskie restrykcje – później, na działce u Pilipiuka, gdy zasiadamy z Andrzejem nad stekiem z jesiotra, karkówką z dzika zapiekaną na grillu z jagodami jałowca, szaszłykami z owoców morza, szparagami z rusztu czy wreszcie zupą Przewodasa – to nie możemy poprzestać na mniej niż trzech dokładkach.

Lecz dość już martyrologii! Jako się rzekło; za granicą Przewodasem być łatwiej, a w Czechach na Euroconie to już komfort zupełny. W przeciwieństwie do polskich SF miesięczników, które stać tylko na upierdliwą recenzję od wielkiego dzwonu, nad Wełtawą dwie gazety młóć Przewodasowe teksty non stop od września 2001. W „Ikarie” już 6 opowiadań, wywiad z Lemem i cykl artykułów na bieżąco, zaś w „Fantastických Faktach” zrobili „Alternatywy Ewolucji” lepiej niż w oryginale, następne kawałki w drodze. W lutym ukazał się „Ksin” w wersji książkowej („Koczokodlak Xin”), a teraz akurat na Eurocon „Różanooka” („Navrat Koczokodlaka”), tłumaczył Pavel Weigel. Wydawca ściągnął mnie na gwałt na promocję, żebym połał okładkę szampanem. W czeskich recenzjach stoi, że stworzyłem nowy podgatunek literacki – „horrową fantasy”. Cóż, Przewodas znów się chwali – lecz któż pochwali Przewodasa, jeżeli on sam tego nie zrobi? (Przewodasie, każda skromność którą okażesz, będzie wykorzystana przeciw tobie!)

Chotěbor, miejscowość w środkowych Czechach, należy do tego typu małych miasteczek, w których zwykłem zakochiwać się od pierwszego wejrzenia – w perspektywie ulic wychodzących z rynku widać góry i lasy, a w knajpach dziczyzna i Wielkopopowicki Koziel. Głupio zorganizowano tylko noclegi – w miejscowości odległej o 20 km (Havliczkov Brod) – i liczni nieszczęśnicy musieli dostosować konwentowe biesiadowanie do rozkładu jazdy autobusów i pociągów. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby w „Hutniku” od Piekiełka do wyrka było 20 km?... Dla Przewodasa wszakże wdzięczny wydawca pokój wyszukał na miejscu i za nic płacić nie pozwolił.

Z polskich pisarzy prócz mnie jeszcze RAZ i Sapek, wszyscy mieliśmy spotkania autorskie. Tuż przed moim przyjazdem wybyli w popłochu Ingot i Dębski, przez co słoneczko od razu jaśniej zaświeciło, a na szklankach piwa przybyło rosy!

Kiedy wspomniani małowielycy wybyli – nic już nie przeszkodziło polskiej śmietance wypłynąć w górę. O triumfie Piotrka Cholewy (został fantastycznym capo di tutti capi na Europę) i Pauliny Braitner (nagroda za tłumaczenia) wiecie już pewnie z obiektywniejszych sprawozdań; ja ciekaw jestem, jak to wpłynie na promocję polskiej fantastyki na Zachodzie? Sapek chodził po Choteborze jak ów bóg Pratchetta, co ateistom zęby wybijał – nikt nie ośmielił się wiary i czołobitności nie okazać. RAZ tłumaczył tuziemcom przy piwie, że mieli szczęście, iż się do Mundialu nie zakwalifikowali, bo się przynajmniej wstydzili teraz nie muszą.

Na moje spotkanie autorskie przyszło 40 osób, co najbardziej zdziwiło mojego wydawcę („Laser –books”), bo równolegle leciał „Wiedźmin” po czesku (podobno dialogi lepsze niż w polskiej wersji), więc konkurencja zdawała się mordercza. Przyszli więc sami zainteresowani Przewodasowym pisaniem, i jeszcze inteligentne pytania zadawali. Zupełnie inaczej niż przed rokiem w Pradze, ale tam przed spotkaniem ze mną głądził Ingot, który wypłoszył z sali co inteligentniejszych słuchaczy. Szczerze Wam powiem, że takiej

publiczności że świecą trzeba szukać na polskich konwentach, szkoda, że ledwie co rozumiem po czesku. Rozmowa znów zoczyła na kwestie polsko-czeskie z „Królowej Joanny d’Arc” (Pavel dał jej streszczenie w posłowie do „Różanookiej”) – i tym razem zamiast szkolnych stereotypów zaczęły się taktyczne dociekania, jak udało się zdobyć husycki tabor pod Domażlicami?

Potem miałem odlot gastronomiczny, skutkiem czego ocknąłem się na przedstawieniu teatralnym, na które nie kupiłem biletu („Zbrojni” Pratchetta), a że nie wiedziałem, z czego się śmiać, to poszedłem spać.

Następnego dnia – dopytawszy się dyskretnie o luki w życiorysie – dowiedziałem się, że pod postacią kotołaka/koczkodłaka spustoszyłem zasoby tequili w jednej karczmie, w której w roku 1912 sam Jaroslav Haszek pawia rzucił czy też utwór napisał, o czym donosiła spizowa tabliczka przy wejściu.

W ogóle, to organizm robił, co mógł, ale nie sposób było przejeść i przepić wszystkich środków, bo nie dość, że piwo w cenie wody mineralnej, wydawca pokrył koszty – to na miejscu czekały zaległe honoraria. Rodzinę obkupiłem i jeszcze stoik „utopenców” (kiszonych serdelków) do Warszawy przywoziłem (pogryzam sobie teraz), ponadto polecam „tlacenkę”, czyli marynowany w occie salceson z cebulą. Pod koniec konwentu tłumaczyłem Sapkowi, że czeską kuchnię trzeba brać integralnie, znaczy popitkę razem z miejscową zagrychą, bo samo czeskie piwo po piątym hektolitrze może jednak zaszkodzić. I tuśmy doszli do porozumienia. Tylko cholera, mocne postanowienie względem odchudzania diabli wzięli. Tak, los Przewodasa na wygnaniu też jednak ciężki!

Konrad T. Lewandowski

P.S

W Pradze koło Mostu Karola odkryłem smaźalnię ryb egzotycznych – tuńczyk z grila z bazylią i miejscowym winem paluchy lizać! Był jeszcze turbot i wilk morski (paskudna morda!), ale te innym razem. Aha, studia doktoranckie z filozofii już skończyłem.



NIUSY

PIOTREK CHOLEWA PREZESEM SESF!

Podczas Euroconu w czeskim Chotěborzu zmieniły się władze Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction. Nowym prezesem został Piotrek W. Cholewa z SKF, do tej pory sekretarz organizacji. Gratulujemy! Dotychczasowa prezes Brigit Wilkinson (Wielka Brytania) zadowoliliła się funkcją sekretarza, natomiast skarbnikiem wybrano Davida Lallyego (Irlandia).

Ustalono też, gdzie odbędą się dwa następne Eurocony: w dniach 1 – 3 sierpnia 2003 r. w Turku w Finlandii, natomiast w 2004 r. w Płowdiwie w Bułgarii.

MJS

KONIEC „MAGII I MIECZA”

Smutna wiadomość dla miłośników miesięcznika RPG: redaktor naczelny i wydawca magazynu postanowili, iż dłuższe jego utrzymywanie nie ma sensu. Tak więc numer 103 będzie zarazem numerem ostatnim.

MJS

FRODO W KOMIKSIE

Madonna i Quentin Tarantino połączą siły, aby wyprodukować ekranizację przygód bohatera mrocznego komiksu z wydawnictwa Marvel pt. "Mort: The Dead Teenager" (Mort: Martwy nastolatek). Bohater na początku opowieści ginie w wypadku – pociąg pozbawia go głowy. Mort trafia w zaświaty, gdzie poznaje Teen Death (nie tłumaczę, ale to głupio brzmi...). Razem wracają na Ziemię, gdzie Mort postanawia zdobyć dziewczynę, o której zawsze marzył. Główne role mają zagrać Elijah Wood ("Drużyna Pierścienia") i Dominique Swain.

misz

INDIANA 4 - LUCAS ZDRADZA SZCZEGÓŁY

Kolejne już informacje docierają na temat "Indiany Jonesa 4". Według najnowszych doniesień – na fotelu reżysera zasiądzie, jak przy poprzednich częściach, Steven Spielberg, a główną rolę zagra oczywiście Harrison Ford. W najnowszej części Jones zostanie tatą – co ujawnił sam George Lucas, producent (jak przy poprzednich trzech filmach).

Nad scenariuszem pracować będzie Frank Darabont ("Skazani na Shawshank", "Zielona mila", serial o przygodach młodego Indiany Jonesa). Do tej pory przedstawiane producentom konspekty historii nie znajdowały ich akceptacji. Nad opowieścią pracowali już m.in. M. Night Shyamalan ("Szósty zmysł") i znany brytyjski dramaturg, scenarzysta i reżyser Tom Stoppard.

Jak do tej pory żaden ponoć scenariusz z serii o Jonesie nie zawierał tak niesamowitych pomysłów. Mówiło się już, że akcja ma się rozgrywać na zaginionej Atlantydzie lub skupić się na poszukiwaniach brata Indiany, zaginionej przed wielu laty.

misz

"NEUROMANCER"

ZADEBIUTUJE NA KINOWYM EKRANIE?

Chris Cunningham – filmowiec, rysownik, konstruktor robotów i twórca efektów specjalnych, który miał okazję pracować przy filmach takich jak "Nightbreed" Clive'a Barkera oraz "Obcy 3" i "Obcy 4: Przebudzenie" – zamierza zekranizować biblię cyberpunkowej literatury – "Neuromancera" Williama Gibsona.

W jednym z udzielonych niedawno wywiadów Cunningham – który jest również autorem teledysków (m.in. "All Is Full Of Love" Björk) wyznał – że nad pomysłami związanymi z ekranizacją pracuje już od kilkunastu miesięcy, jednak – mimo kilku spotkań z autorem książki – nie powstała jeszcze żadna konkretna wizja filmu ani zarys scenariusza.

Być może scenariusz stworzy – samodzielnie lub we współpracy – sam autor, który jest również scenarzystą "Johnny'ego Mnemonica".

misz

NAJLEPSZY FILM SF/FANTASY XX WIEKU - WYNIKI

Serwis www.stopklatka.pl podał wyniki organizowanego przez siebie plebiscytu na „najlepszy film fantastycznonaukowy, fantasy XX wieku”. Wyniki są dość zbliżone z niedawno organizowanym Rankiem Tysiąclecia, aczkolwiek zauważyć można pewne różnice. Wniosek narzucający się po lekturze rezultatów jest taki, że w plebiscycie wzięło udział sporo fanów jakiejś określonej serii, głosujących „hurtem” na kolejne pozycje z cyklu – stąd zapewne 6. miejsce słabego „Powrotu Jedi” czy 9. „Obcego 2”

- | | |
|---|-----------------------------|
| 1. Łowca androidów | 26. Powrót do przyszłości |
| 2. Gwiezdne wojny IV: Nowa nadzieja | 27. Excalibur |
| 3. Gwiezdne wojny V: Imperium kontratakuje | Gattaca |
| 4. Odyseja kosmiczna 2001 | 29. Planeta małp |
| 5. Matrix | Cube |
| 6. Gwiezdne wojny VI: Powrót Jedi | Dzień niepodległości |
| 7. Obcy, ósmy pasażer Nostromo | Star Trek: Pokolenia |
| 8. Willow | 33. Mechaniczna pomarańcza |
| 9. Obcy: decydujące starcie | Brazil |
| 10. Władca Pierścieni | Ghost in the Shell |
| 11. Star Trek: Pierwszy kontakt | Star Trek: Powrót na Ziemię |
| 12. E.T. | Kontakt |
| 13. Diuna | 38. Predator |
| 14. Star Trek | Star Trek VI: Wojna o pokój |
| 15. Conan Barbarzyńca | Obcy 3 |
| Star Trek: Rebelia | 41. Batman |
| 17. Terminator | Legenda |
| 18. Metropolis | Faceci w czerni |
| 19. Piąty element | 44. Mad Max |
| 20. Terminator 2: Ostateczna rozgrywka | Jurassic Park |
| 21. 12 małp | Pi |
| 22. Nieśmiertelny | X-Men |
| 23. Gwiezdne wojny: część I – Mroczne widmo | Niekończąca się opowieść |
| 24. Bliższe spotkania trzeciego stopnia | Obcy: Przebudzenie |
| 25. Seksmisja | 50. Mroczne miasto |
| | Trzynaste piętro |

misz

NORDYCKIE FANTASY NA MAZURACH

9 lipca rozpoczną się na Mazurach zdjęcia do filmu fantasy "Kraina mroku". Obraz oparty na motywach nordyckich legend będzie gotowy we wrześniu.

Fabuła godzinnego obrazu trzymana jest w wielkiej tajemnicy. „Mogę jedynie powiedzieć, że – wzorując się na nordyckich legendach – spróbowałem napisać swoją wersję takiej opowieści” – powiedział Tomasz Suski, scenarzysta i reżyser. Pierwszym filmem Suskiego byli "Rycerze". „To była przede wszystkim zabawa i swoisty sprawdzian przed poważnym filmem, jakim jest w naszym zamierzeniu »Kraina mroku«. W związku z tym w "Krainie mroku" zobaczymy kilku aktorów-amatorów, którzy sprawdzili się w "Rycerzach".

Zdjęcia potrwają do 24 lipca. „Nad ewentualną dystrybucją zastanowimy się, kiedy film będzie gotowy – a nastąpi to w okolicach września. Na razie skupiamy się na jego realizacji” – dodał reżyser.

"Kraina mroku" nie jest jedyną produkcją fantasy, która powstaje w naszym kraju. Niezależni filmowcy realizują jeszcze takie filmy jak: "Wiedźmin i miasto umarłych", "Kościel", "Duch gór" czy wreszcie "Wiedźman".

misz

za www.stopklatka.pl

ŚLADEM MROCNIEGO WIDMA

Z filmu „Scooby-Doo” wycięto sceny ukazujące zainteresowanie romantyczne pomiędzy Daphne (Sarah Michelle Geller) i Velmą (Linda Cardellini). Niektóre ze scen, które znalazły się poza filmem, to pocałunek między dziewczynami i scena, w której Velma śpiewa "I can't take my eye off of you" i zdejmuje sweter. Cięcia miały na celu dostosowanie filmu do młodszego widza.

Ceti

WŁADCA MTV

"Władca Pierścieni. Drużyna Pierścienia" otrzymał tytuł filmu roku podczas tegorocznej gali MTV Movie Awards. Na rozdaniu tych wyróżnień stały się największe gwiazdy kina. Will Smith i Nicole Kidman według widzów MTV stworzyli najlepsze kreacje aktorskie.

misz

HARRY U NAS ZNÓW Z POŚLIZGIEM

Druga część opowieści o Harrym Potterze i jego przyjaciółach, „Harry Potter i Komnata Tajemnic”, zadebiutuje na ekranach kin w USA 15 listopada 2002 roku. Polscy widzowie zobaczą obraz 3 stycznia 2003 roku.

misz

DEMONICZNA EKRYNIZACJA

Powieść Clive'a Barkera stanie się podstawą nowego filmu Sci Fi Channel „Saint Sinner” (Święty Grzesznik). Film opowiada o XIX-wiecznym mnichu (Greg Serano), który niechętny wypuszcza dwie demonice (Mary Mara i Rebecca Harrell), uciekające następnie do XXI wieku. Za nimi podąża mnich, by z pomocą policjantki (Gina Raver) schwytać piekielne stworzenia.

Ceti

AGENT K ZNÓW POTRZEBNY

„Men in Black II” dzieje się 5 lat po pierwszej części. Agent J (Will Smith) teraz jest szefem zespołu. Okazuje się jednak, że pojawiło się zagrożenie, z którym miano się uporać 25 lat wcześniej i jedyną osobą, która wie co zrobić, jest Agent K, któremu wyczyszczono pamięć. Agent J musi ją mu przywrócić, aby uratować Ziemię. Wątkiem pobocznym są relacje między agentami po odzyskaniu pamięci, a główne pytanie to "kto powinien rządzić?". Premiera w USA odbyła się 3 lipca.

Ceti

NASZ CZŁOWIEK W BEDEKERZE!

W połowie lipca br. ukazało się drugie wydanie (znacznie poszerzone, aż 440 stron!) *Bedekera wejherowskiego* red. Reginy Osowickiej; czyli – ludzie, miejsca, wydarzenia...

Znalazły się tam również notki o dwojgu wejherowskich komiksiarzach: o pierwszej damie polskiego komiksu Aleksandrze Spanowicz (z domu Czubek) i o autorze *Wampiurs Wars* Janie Placie-Przechlewskim. W przypadku naszego PiPiDżeja – sporo jest też o działalności klubowej i GKF-ie.

Jedno tylko zastanawia: hasło „Plata-Przechlewski Jan” jest umiejscowione tej księdze tuż (bezpośrednio!) po hasle „Pиво”. Czy to tylko kwestia alfabetu?

pak

X-MAN KONTRA WIELKIE ZŁO

Hugh Jackman („X-men”) ma zagrać tytułową rolę w filmie „Van Helsing” w reżyserii Stephena Summersa („Mumia”), który także napisał scenariusz. Główny bohater ma udać się do wschodniej Europy by stawić czoło wielkiemu złu. W filmie mają pojawić się Dracula, Frankenstein i wilkołaki. Rozpoczęcie zdjęć 1 grudnia.

Ceti

DRUGI PIERŚCIEN

Martin Henderson wystąpi w remake'u japońskiego filmu „Ring” („Pierścień”) w roli fotografa, który pomaga swojej dziewczynie dziennikarce (Naomi Watts) zbadać sprawę tajemniczej kasety wideo, po obejrzeniu której wszyscy ludzie umierają. Jest on początkowo nastawiony sceptycznie do tej sprawy, ale z czasem wciąga się w jej mroczne tajemnice. Chris Cooper gra seryjnego mordercę dzieci, który pojawia się na początku i końcu filmu. Sceny te mają ukazać horror rzeczywistego świata i łączą w spójną całość resztę filmu. Premiera jest przewidziana na 18 października.

Ceti

DINOZAUROW WCIĄŻ MAŁO

Steven Spielberg chce nakręcić czwartą część „Parku Jurajskiego”. Do reżyserowania chciałby wziąć Joe'a Johnstona, który pełnił tę funkcję poprzednim razem. Według Spielberga scenariusz jest już gotowy i jest tak dobry, jak oryginalny scenariusz Michaela Crichtona.

Ceti

Sprostowanie!

W informacji o opowiadaniach wydanych w 2001 roku, przy opowiadaniu "Flandria" powinno być nazwisko Olgierd Dudek.

Z deszczu pod rynnę

Nigdy nie grałem w „Resident Evil” i jako specjalnie nie żałuję. Na film się wybrałem, no bo czemu by nie? Tym bardziej, że bilety dostaliśmy po 10 zł. Film był warty tych 10 złotych, ale więcej raczej nie.

Prolog filmu jest odpowiednio krótki, w kilku krótkich, dziejących się równolegle scenach pokazuje (choć nie wyjaśnia incydent), który stanowi zaczątek fabuły. Uniknięto zbędnych dialogów i wprowadzeń, postacie są nieważne. I tak za chwilę będą martwe.

Akcja właściwa rozpoczyna się, gdy główna bohaterka budzi się naga pod prysznicem. Te pierwsze sceny są zrealizowane fantastycznie. Idealnie budowana jest groza i tajemniczość. Po pierwszych odruchach bohaterki widać, że jest ona kimś. Tajemnica i napięcie są zreżymowane w kolejnych minutach, gdy do budynku (pałacyku) wpada elitarny oddział żołnierzy, lub gdy prowadzą oni bohaterkę i policjanta, który z niewyjaśnionych powodów też tam się znalazł, tajnym tunelem do kolejki prowadzącej do podziemnego kompleksu.

Niestety, w tym momencie zostaje wyjaśniona tożsamość bohaterki, źródło jej kłopotów z pamięcią i powód rajdu komandosów. Po wkroczeniu do kompleksu następuje walka ze sztuczną inteligencją (nader krótka, choć ma swoje dobre momenty). Dalej jest już gore, czyli to, o co chodzi w tym filmie. Hordy zombi, zresztą dobrze ucharakteryzowanych (pieski!) i bardzo „prawdziwych”, napierają ze wszystkich stron na bohaterów. W trakcie ucieczki w stronę wyjścia wyjaśnia się niezbyt skomplikowana fabuła filmu (głównie w wyniku powracającej pamięci). Pod koniec filmu następuje niezbędna walka z „bossem”. Jest to wymagane zarówno konwencją (gra komputerowa!), jak również ostatnią fascynacją CGI. Końcówka jest trochę zaskakująca i zadawalająca, między innymi dlatego, że widz dostaje coś innego, niż spodziewane kolejne 20 minut rąbaniny.

Na razie głównie mówiłem o zaletach, dlaczego więc oceniłem ten film tak nisko? Po pierwsze i najważniejsze – brakuje mu tego czegoś. Trudno mi uchwycić dokładnie, czego, ale czuję niedosyt. Może się na to zebrało kilka pomniejszych problemów. Moim (i nie tylko moim) zdaniem, zbyt szybko dowiedzieliśmy się, o co chodzi, i to na dodatek w formie wprowadzenia przed misją (znowu konwencja gry!).

Najciekawsza postać filmu, Czerwona Królowa (sztuczna inteligencja), praktycznie nie zostaje wykorzystana w filmie. Sprawa ewentualnych dylematów moralnych zostaje rozwiązana usmażeniem obwodów komputera jednym przyciskiem.

Nieodzowny boss pod koniec filmu też jest smętny. Ani specjalnie oryginalny, ani świetnie wykonany. Walka z nim jest sztamowa. A jego zdolność specjalna? „Po zjedzeniu świeżego DNA mutuje”. Faktycznie, trochę mu się kolorki skóry zmieniły.

Warto, czy nie warto? Jeśli za dychę chcesz spędzić 90 minut na poprawnie wykonanym filmie, który nic nowego nie wnosi, to czemu nie? W innym wypadku wybierz się na coś innego. Ja za 48 godzin będę oglądał „MiB II”.

Adam Cetnerowski



Who let the dog out?

Północ. Prapremierowy pokaz "Attack of the Clones". Ceti śpi. Północ. Prapremierowy pokaz "Fellowship of the Ring". Ceti śpi. Północ. Prapremierowy pokaz „Men in Black II”. Ceti w kinie. Czemu?

Czemu nie? Za namową kolegi z pracy wybraliśmy tą porę, aby zapoznać się z najnowszym filmem Barry'ego Sonnenfelda. I muszę powiedzieć, że się nie zawiedliśmy. Zresztą jak większość osób w kinie tej nocy.

Fabuła filmu jest prosta, ale oczywiście nieistotna, bo chodzi przecież o serię gagów związanych z organizacją chroniącą ludzkość przed przybyszami z kosmosu. Tym razem chodzi o to, że zła kobieta chce zdobyć Światło Zarathry. Agent J musi przywrócić pamięć Agentowi K, gdyż on jest jedyną osobą, która

wie, co się stało ze Światłem. Tym razem scenarzysta zaproponował nam dwie pary niedobrych współpracowników. Jedną połówkę w nich zawsze stanowi Agent J (Will Smith), który po odejściu K stał się wielką gwiazdą w agencji, ale jednocześnie nie może znaleźć sobie nowego towarzysza, zaś swą frustrację wyładowuje na współpracownikach. Zed przydziela mu wpraw Agentu F – znanego z poprzedniej części sympatycznego Obcego w ciele psa. Oczywiście w drugiej połowie powróci dawna para K i J. Teraz J chce udowodnić, że nie jest już żółtodziobem, co oczywiście nie do końca mu wychodzi.

Zresztą nie będę opisywał gagów z filmu, ale zapewniam że jest ich wiele. Nie gwarantuję dobrej zabawy, to zależy już od konkretnego poczucia humoru, ale ja naprawdę się cieszę, że obejrzałem ten film, nawet jeśli w pracy trochę ziewałem.

ceti





Aleksander Olin „Komusutra”

KONTROWERSYJNA GROTESKA

TO LUBIĘ

„Komusutra” Aleksandra Olina może wywołać mieszane uczucia: niewiele jest na polskim rynku książek równie zabawnych, o podobnym natężeniu humoru, z drugiej strony zaś, można zarzucić autorowi, że często jest to humor klozetowy. Bez żadnych zahamowań wyśmiewana jest polska polityka i politycy, choć nierzadko przedstawiani są oni (i ona) w sposób uproszczony. Niezależnie od poglądów, powieść zasługuje jednak na uwagę, jako że pod względem czysto pisarskim prezentuje się bardzo interesująco.

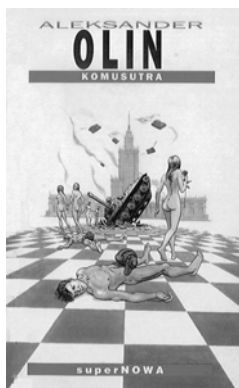
Nie ma tu jednego, wyraźnie dominującego nad innymi, ciągłego wątku fabularnego, to raczej zbiór kolejnych groteskowych obrazów przedstawiających przyszłość naszego kraju. I tak: wyjaśnione zostaje zauważenie Aleksandra Kwaśniewskiego na rozmowach z agentem Ałganowem w Cetniewie, choć w tym czasie przebywał on za granicą – po prostu do ośrodka wczasowego trafił przypadkiem klon prezydenta z przyszłości. W Poroninie znalezione zostają prawdziwe zwłoki Lenina, który zmarł w 1937 r. i pozostawił po sobie (rozzarowany do ZSRR) plan „Nowoj erotycznej polityki”, a także tajemniczy aparat drastycznie zwiększający aktywność seksualną. Janusz Korwin-Mikke rozrywa się w Sejmie, zabijając Grzegorza Kołodkę; przy tym następuje barwny opis tego, która część ciała zamachowca co uszkadza poszczególnym politykom („(...) był jeszcze ten Józef Oleksy ścierający chusteczką z głowy brunatną posokę rozbryzniętej odbytnicy Korwina-Mikkego”). SLD i PSL łączą się w AWSL (Akcję Wyborczą Socjaldemokracji Ludowej). Następnie lewica wprowadza system powszechnej miłości i dyktaturę, dzięki zastosowaniu w całym kraju zmodyfikowanej wersji urzędzenia Lenina. Wybuchają walki, w trakcie których władza rozbraja buntowników, kierując na nich promienie sprawiające, że zaczynają uprawiać z sobą seks zamiast walczyć.

Jeśli tylko komuś odpowiada rodzaj humoru Aleksandra Olina – a natężenie jego jest potężne, porównywalne chyba tylko z nieśmiertelnym Monty Pythonem – książka go zadowoli. Autor znakomicie radzi sobie z piętrzeniem kosmicznych absurdów i dobudowywaniem do nich kolejnych. Z drugiej strony – nie każdego musi interesować np., co robi prezydent Kwaśniewski w ubikacji. Podobne potraktowanie wielu polityków może być jednak dla wielu atrakcyjne.

Osobiście cenię „Komusutrę” głównie za to, że się przy niej solidnie uśmiałem – choć często raziły mnie nadmierne wulgaryzm i obsceniczność. Zaletą tej groteski jest przede wszystkim – po prostu groteskowość, natomiast pozostałych elementów nie należy brać zbyt poważnie.

Pozostaje tylko pytanie typowe dla utworów pisanych pod pseudonimem: kto się za czymś podobnym kryje? Zapewne przez całe lata pozostanie ono bez odpowiedzi. Osobiście mam kilka typów; na trop może naprowadzić porównanie stylu, temperamentu pisarskiego i podobnych szczegółów. Ostatecznie sprawę wyjaśni jednak – o ile zechce – dopiero sam autor, a ja swoje podejrzenia zachowam dla siebie.

Marcinus Szklarskus de Gedaniam



JAK MISTRZ STANISŁAW GROTESKĘ Z „REALSOCJALIZMU” PREPAROWAŁ

PRL oddała się od nas coraz bardziej. Pamięć o pojałtańskiej Polsce pozostaje już tylko w świadectwach ludzi, w legendzie („białej” i „czarnej”), w źródłach historyków, w sztuce. Do historii polskiej literatury np. weszła, wydana wtedy w „drugim obiegu”, *Mała Apokalipsa* Tadeusza Konwickiego. Zapomnianą (niesłusznie!) częścią naszego pisarstwa jest też, wydawana wtedy legalnie, polska *social fiction* – kontestująca ówczesną rzeczywistość, podejmująca swoistą „grę” z cenzurą, a nawet usiłująca zastąpić skrępowaną cenzorskimi ograniczeniami publicystykę. Mam tu na myśli nazwiska takie jak Wnuk-Lipiński, Oramus, Parowski – a przede wszystkim, nieżyjący już, Janusz A. Zajdel.

A jak na ówczesną rzeczywistość reagował w swej twórczości największy polski twórca SF i jeden z najznakomitszych polskich pisarzy XX wieku – Stanisław Lem? Lem jest człowiekiem o dobre pokolenie starszym niż autorzy wspomniani wyżej. Wtedy też, z uwagi na swą międzynarodową sławę, był osobą na pewno częściej bywającą na Zachodzie niż oni – tak więc co do prawdziwego oblicza otaczającej nas rzeczywistości raczej nie miał już wtedy złudzeń. Jednak problematyka, która zdominowała twórczość Zajdla, u Lema występuje okazjonalnie.

Ale nie był on nigdy typem „urodzonego kontestatora”. A na pewno nie kontestatora w „skali mikro”. Jego, jako pisarza, interesowała zawsze „skala makro”: nie bieżący, przemijający problem (np. polityka konkretnych władz państwowych) – ale coś ponadczasowego, uniwersalnego (np. tożsamość gatunku ludzkiego wobec coraz bardziej wszechobecnej technologii, także genetycznej).

Jeśli chciałoby się scharakteryzować jednym zdaniem rangę, specyfikę i unikatowość Lemowskiego dzieła – należałoby stwierdzić, iż wielcy pisarze skupiali się w swej twórczości na **człowieku**; Lem poszedł o krok dalej – on zastanawia się nad istotą **człowieczeństwa**.

Widać to doskonale w jego utworach, niezależnie od zastosowanej konwencji: czy będzie to napisana w tonacji serio opowieść *hard fiction*, czy skrząca się humorem groteska, czy traktat *quasi*-filozoficzny. Jako przykład przytoczę fragment opowiadania *Rozprawa* (ze zbioru *Opowieści o pilocie Pirxie*). Tematem tego utworu jest bunt robota-androida na statku kosmicznym. Bunt polegający na tak precyzyjnie opracowanym sabotażu, że – niezależnie od decyzji dowódcy-człowieka – cała załoga statku nie miała, według wszelkich zasad logiki, jakichkolwiek szans na ocalenie. Cytuję końcowe refleksje Pirxa:

To jednak dziwna historia, ponieważ tak dobrze pojmując teraz jego zachowanie, nadal jestem bezradny, chcąc wyjaśnić własne. Potrafię logicznie odtworzyć każdy jego krok, a nie umiem wytłumaczyć własnego milczenia. Powiedzieć, że byłem po prostu niezdecydowany – to minąć się jednak z prawdą. Więc co właściwie zaszło? Działała intuicja? Przeczucia? Gdzie tam! [...]

Tak więc zwlekałem – z pomieszczenia, z poczucia bezradności, obrzydzenia nawet [...] miałem go zmusić do określonych działań – i to wbrew jego lepszej wiedzy, wbrew woli; tymczasem milczałem. W ostatecznym rachunku uratowało nas, a jego zgubiło – moje

niezdecydowanie, moja ślamazarna „pocziwość”, ta „pocziwość” ludzka, którą tak bezgranicznie gardził*.

Nie oznacza to jednak, że Mistrz nigdy nie nawiązywał w swych utworach do realiów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i państw tzw. „obozu socjalistycznego”. Uczynił to kilkakrotnie – sięgając wtedy najczęściej (i z najlepszym skutkiem!) do konwencji groteski...

Dwa „sztandarowe” cykle Lemowskich grotesk to *Cyberiada* (wraz z opowiadaniem do niej nawiązującymi i *Bajkami robotów*) i *Dzienniki gwiazdowe* (wraz z nawiązującymi do nich opowiadaniem i powieściami). W *Cyberiadzie* trudno doszukać się jakichś wyrazistszych aluzji do PRL-u i „real socjalizmu”. To raczej satyra na szeroko pojętą bolączkę współczesnego świata i na ponadczasową głupotę (a wszelka władza, jeśli się tam pojawia, ukazana jest raczej w kostiumie średniowiecznej tyranii). Wymowa *Dzienników gwiazdowych* jest podobna, ale tu akurat możemy znaleźć parę przykładów na to, że Maestro „nie wytrzymał” – i dał nam do zrozumienia, co sądzi o rzeczywistości za oknem...

Do najsmakowitszych należy *Podróż trzynasta*. Ijon Tichy trafia w niej m.in. na pokrytą wodą planetę Pintę. Panuje na niej iście schizofreniczny system: Pintyjczycy żyją w wodzie (wręcz pod wodą!) i przy każdej okazji głoszą wyższość pławienia się nad egzystencją na suchym lądzie – jednak w rzeczywistości wydają się do takiego trybu życia całkowicie nieprzystosowani!

Zauważyłem, że skafandry, jakie mieli na sobie, kończyły się szeroka, płaska wypustką, jak gdyby Pintyjczycy mieli zamiast nóg rybnie ogony. [...] Gdy Rybici zdjęli na lotnisku skafandry, przekonałem się, że są bardzo podobni do ludzi, a jedynie członki mają dziwacznie wygięte i pokręcone**.

Tichy od razu zauważa (trudno by zresztą inaczej!) nieprzystawalność rzeczywistości do oficjalnie głoszonych teorii; w wyniku czego rychło staje przed obliczem Swobodnej Rybicyj Pinty – i najpierw spędza noc w sucharce, a następnie zostaje skazany na trzy lata swobodnego rzeźbienia.

Wtrącony do sucharki [...] dowiedziałem się dopiero, że baldurów ani badubiniów jeszcze na Pincie nie ma. Są to szlachetne, doskonałe w swej rybowatości formy, w które Pintyjczycy przekształcała się z czasem zgodnie z nauką o ewolucji perswazyjnej. Spytałem, kiedy to się stanie. Na to wszyscy obecni zadrżeli i usiłowali dać nurka, co z braku wody było oczywiście niemożliwością [...]**.

W sucharce Tichy dowiaduje się o przewinieniach swych towarzyszy niedoli, a podczas „swobodnego rzeźbienia” – poznaje skazanego profesora, który wyjaśnia mu źródła tego obłądnego systemu.

Jeden z nich znalazł się w sucharce, ponieważ zasnawszy na omywanym wodą tapczanie zachłysnął się i skoczył na równe z krzykiem: „Zdechnąć można od tego”. Drugi nosił dziecko na barana, zamiast przyuczać je od małości do życia pod wodą. Trzeci wreszcie [...] miał nieszczęście zabulgotać w sposób określony przez osoby kompetentne jako znaczący i obelżywy podczas prelekcji o trzystu wodnikach bohaterach, którzy zginęli ustanawiając rekord życia pod wodą**.

Planetę nękały kiedyś gorące wiatry i uczeni dowiedli, że zagraża jej przemiana w szczerą pustynię. W związku z tym opracowali wielki plan irygacyjny. Aby go wprowadzić w życie, założono odpowiednie instytucje i nadrzędne biura; potem atoli, gdy zbudowano już sieć kanałów i zbiorników, biura nie chciały się rozwiązać i działały dalej, nawadniając Pintę coraz bardziej. Doszło do tego – mówił profesor – że to, co miało być opanowane, opanowało

nas. Nikt jednak nie chciał przyznać się do tego, następnym zaś, koniecznym już krokiem było stwierdzenie, że jest właśnie tak, jak być powinno**.

Przytoczony powyżej akapit spełnia w opowiadaniu rolę podwójną: wyjaśnia czytelnikowi założenie fantastyczne, na którym opiera się ta część utworu – a jednocześnie uspokaja cenzora, iż opowieść o Pincie jest satyrą na biurokrację (nie zaś na socjalizm!).

Dodatkowe elementy satyry to: nazwa „Rybicja” (wywołująca brzmieniowo – i nie tylko! – skojarzenie z „Milicją”), określanie mianem „swobody” czegoś, co jest przymusem (Rano płynęliśmy do pracy, śpiewając pieśni, z których najlepiej zapamiętałem jedną, zaczynającą się od słów „Hej swoboda, hej swoboda do rzeźbienia sił nam doda”**) oraz ukazanie całej tej paranoi jako sytuacji nieznośnej nawet dla strażników:

Pewnego dnia poczęły krząć wśród nas wieści budzące niesłychane podniecenie. Mówiono, że oczekiwana jest jakaś nadzwyczajna zmiana, [...] słyszałem na własne uszy, jak ktoś mówił, że widziano Wielkiego Rybona Ermenyzeusza z ręcznikiem.

Jednej nocy dobiegły nas odgłosy hucznej zabawy z budynku kierownictwa. Wypłynawszy na dwór, ujrzałem, jak kierownik wraz z lektorem wylewają z okien wodę wielkimi kubłami, głośno przy tym śpiewając. Skoro świt pojawił się lektor; siedział w uszczelnionej łódce i oświadczył nam, że wszystko, co działo się dotąd, było nieporozumieniem [...]**.

Lecz owa „odwilż” nie potrwała długo ([...] lektor został wezwany do miasta i więcej nie wrócił**), podwyższono wręcz powszechny poziom wody (Wszyscy zaczęli chodzić wyłącznie na palcach. Osoby niższe po krótkim czasie gdzieś znikły**).

Ijonowi Tichemu udało się, w całym tym zamieszaniu, umknąć na sąsiednią planetę Pantę. Ale wykreowany na niej system nie był już wyraźnym nawiązaniem do pojałtańskich losów naszej części Europy (pewne elementy przywodzą raczej na myśl Koreę Północną z jej specyfiką), nie będziemy tu więc analizować dalszego ciągu *Podróży trzynastej*.

Pozostaniemy jednak jeszcze w świecie *Dzienników gwiazdowych*.

Powieść *Wizja lokalna* jest jedną z trzech ostatnich fabuł Stanisława Lema. Nawiązuje do jednego z najlepszych i najbardziej zapadających w pamięć opowiadań z *Dzienników gwiazdowych*: do *Podróży czternastej*. Jest to jednak nawiązanie bardzo przewrotne...

Otóż Ijon Tichy niespodziewanie dowiaduje się, że jego sprawozdanie z pobytu na Enteropii było totalnym nieporozumieniem: nie odwiedził on bowiem planety, a jedynie park rozrywki przygotowany dla turystów (coś w rodzaju Disneylandu). Tichy wyrusza więc na swoistą „wizję lokalną”: zobaczyć prawdziwą planetę – i jej prawdziwych mieszkańców.

Na planecie „właściwej” (o nazwie Encja) funkcjonują, stworzone przez dwie rozumne rasy, dwa organizmy państwowe – o dwóch całkowiec odmiennych ustrojach. Pierwsze z państw to Kurdlandia (Państwochód Kurdlandzki), drugie to Luzania (Luźna Federacja Stanów Doskonałych).

Sposób prezentacji Luzanii możemy odczytać jako dworowanie sobie z USA (częste w *Dziennikach gwiazdowych*) i, częściowo, z Europy Zachodniej. Nas bardziej interesuje tu Kurdlandia – będąca wyraźną satyrą na ZSRR i państwa satelickie (*Opilstwo jest [...] społeczną plagą Kurdlandii, o czym wszakże czytanki milczą****).

Spółeczeństwo Kurdlandii zbudowało swą cywilizację wewnątrz ogromnych zwierząt: kurdli. Charakteryzuje się ona zacofaniem, niemożnością rozwoju, zamknięciem się na świat zewnętrzny – oraz nieuzasadnioną zupełnie dumą ze swoich „osiągnięć”. Krótko mówiąc: w kurdlu jest ciasno i źle – ale to jest **nasz** kurdel!

Każdy może wychodzić sobie na spacer lub za inną potrzebą z rodzimego kurdla, a potem wraca tak, jak się wraca do domu. [...] Co się tyczy przepustek i paszportów, uprawniających do czasowego opuszczenia kurdla, okazały się niezbędne z czysto administracyjnych powodów, żeby nikt nie musiał się tłoczyć u wejść i wyjść. Paszportyzacja okazała się ponadto konieczna, bo nikczemni Luzanie [...] udając powracających z przechadzki prawowitych mieszkańców miastodonta, dostawali się doń, by siać zamęt i demo-ralizację, zwłaszcza w szeregach niedoświadczonej młodzieży, wmawiając jej, jakoby warunki życia poza kurdlem były lepsze***.

Ijon Tichy w encjańskiej (a dokładnie: w kurdlandzkiej) bibliotece stara się zgłębić prawdziwą historię planety i jej dwóch cywilizacji. Jednak, z uwagi na nieprzystawalność opisanych dziejów do elementarnej logiki – idzie mu to bardzo opornie...

Było tych dzieł tyle, że plecy zabołały mnie od samego ich znoszenia po drabince i w krzyżach zatrzeszczało. Mimo to wierny postanowieniu zgłębienia rzeczy do cna nie ustawałem w lekturach. Subtelna zawiałość wywodów nakazywała szacunek, ale choć nie natknąłem się ani raz na takie słowo, powoli narastało we mnie przemożna wrażenie, że w kurdlach jest po prostu niewygodnie, żaden jednak teoretyk kurdlandzki nigdy by czegoś podobnego nie powiedział. Mówili o pewnych przejściowych trudnościach związanych z niedostateczną wentylacją, o złej jakości filtrów i odwadniaczy, o schorzeniach kręgosłupa, wywołanych koniecznością życia w kucki, bo zwłaszcza na niższych stanowiskach trudno się jakoby kurdlu wyprostować na całą wysokość, ale o tym, żeby po prostu można porzucić te mieszkalne wnętrznosci, żaden ani się zająknał. Muszę powiedzieć, że porządnie mnie to dziwiło, bo niby jaki absolutny mus zniewalał ich do pędzenia takiego żywota?***

Czyż powyższy fragment nie przywodzi na myśl, będących na porządku dziennym, nieustannych uzasadnień ówczesnych „przejściowych trudności” oraz niektórych naszych oficjalnych krytyków Systemu, którzy (z oczywistych względów) stopowali swe wywody tuż przed ostateczną i jednoznaczną konkluzją?

Narrator odkrywa również inne publikacje nt. życia w kurdle – w zupełnie innej utrzymanej tonacji:

Miałem już opuścić tę część biblioteki, kiedy natknąłem się na wielką kupę broszur i gazet, zalegająca kąk między dwiema szafami. Zwalono je, jakby miały być wyłączone z zestawu bibliotecznego i miały pójść na śmiecie. Nad nimi dopiero się zdumiałem, bo choć pochodziły wszystkie z Luzanii, pełne były peanów na cześć naczynobilizmu. Kichając od kurzu usiadłem przeciw nad tą stertą, rzucając okiem to na reportaże, to na wiersze, sztuki dramatyczne, poematy, opiewające czar bytowania w miastodontach, w których wszyscy się znają, nie ma żadnej alienacji, frustracji ani inwigilacji [...], gdzie każdy mówi każdemu po imieniu, a wszyscy zespalażą się życiowym rytmem z tym dobrym, wspaniałym stworzeniem [...].***.

Lektura tego fragmentu przywodzi natychmiast na myśl zachodnich intelektualistów zafascynowanych bolszewicką rewolucją, Sowietami i systemem „socialistycznym”, którzy jakoś jednak, mimo tej fascynacji, nie zrezygnowali ze swych apartamentów w Paryżu czy w Nowym Jorku – i nie przenieśli się do kurdla... to jest, chciałem powiedzieć, do Moskwy, Warszawy, Pragi, Budapesztu czy wschodniego Berlina!

W tej powieści Stanisław Lem użył, jak widać, języka o wiele mniej ezopowego...

Wróćmy teraz do jednej z wcześniejszych przygód Ijona Tichego. Opowiada o niej powieść *Kongres futurologiczny*.

Mamy tu obraz Ziemi przyszłości. Obraz zdegenerowanej, chylącej się ku upadkowi, cywilizacji ludzkiej. Jednak członkowie tej społeczności nie zdają sobie sprawy z grozy sytuacji. Więcej: są przekonani o wszechobecnym dobrobycie. A wszystko to dzięki powszechnemu ordynowaniu przez władze środków halucynogennych. Na nieco podobnym pomysśle oparli się twórcy, znacznie późniejszego, głośnego filmu *Matrix* (tyle że tam farmakologię zastąpiła komputeryzacja). Moralna wymowa obu dzieł jest jednak podobna: czy lepiej „zamarznąć w stercie śmiecia, z wiedzą, że tak jest”, czy lepiej „zawdzięczać ukojenie zwidom”^{****}. Ijon Tichy zdecydowanie optuje za **prawdą**, nawet najokropniejszą, choć jeden z przywódców tego systemu „kusi” go przekonującymi z pozoru argumentami:

Jesteśmy zniewoleni stanem rzeczy. Zagnał nas w kąt. Gramy takimi kartami, jakie nam społeczny los wcisnął w ręce. Przynosimy spokój, pogodę i ulgę jedynym zachowanym sposobem. Utrzymujemy na skraju równowagi to, co bez nas runęłoby w agonię powszechną. Jesteśmy ostatnim Atlaseem tego świata. Chodzi o to, że jeżeli już musi zginać, niechaj nie cierpi. Jeżeli nie można odmienić prawdy, trzeba ją zasłonić, to ostatni jeszcze humanitarny, jeszcze ludzki obowiązek. [...] 69 miliardów żyjących legalnie i zapewne około 26 miliardów zatajonych. Średnia temperatura roczna spadła o cztery stopnie; za piętnaście, dwadzieścia lat będzie tu lodowiec. Nie możemy zapobiec zlodowaceniu; nie możemy do niego nie dopuścić – możemy tylko je zakryć.

- Zawsze uważałem, że w piekle musi być mróz – rzekłem. - Więc malujecie drzwi do niego w ładne wzorki?^{****}

Tyle aluzji do realiów PRL-u w humorystycznych utworach Stanisława Lema. Mimo konwencji groteski – nawiązań wcale nie zabawnych w swej wymowie... A poza tym Lemowskie teksty okazały się (w przeciwieństwie do spuścizny Zajdła) ponadczasowe: głupota, nadgorliwość i naginanie rzeczywistości do obowiązującej ideologii zadomowiły się całkiem nieźle również w III Rzeczypospolitej!

Tak więc pamiętając o Januszu A. Zajdłu i jego naśladowcach (także tych współczesnych, reagujących na realia dzisiejsze...) – nie można nie zauważyć, że również sam Stanisław Lem dorzucił do polskiej *social fiction* swoje trzy grosze; i to trzy grosze wcale udane. Chociaż oczywiście Maestro najwspanialszy jest tam, w czym jest najlepszy, jedyny i niepowtarzalny: w poszukiwaniu istoty człowieczeństwa!

Jan Plata-Przechlewski

* S. Lem *Opowieści o pilocie Pirxie*

** S. Lem *Dzienniki gwiazdowe*

*** S. Lem *Wizja lokalna*

**** S. Lem *Kongres futurologiczny*



MIT, FANTASTYKA I POLITYKA

Politykowanie, w formule sf, to temat wielu gorących dysput konwentowych – i to właśnie wytrwałych uczestników tych dyskusji najbardziej zainteresuje z pewnością *Mitologia społeczna w literaturze fantastycznonaukowej* Szymona Hrebendy. Czekają jednak ich nieco chłodny prysznic: do ich wiedzy praca ta nie wniesie zbyt wiele nowego – poza, być może, pewną systematyką zagadnień, na którą w ogniu sporów nie zawsze starczy czasu. Hrebenda bowiem serwuje czytelnikowi opracowanie natury ogólniejszej, skierowane do znacznie szerszego audytorium, również do tych czytelników, którzy na co dzień z fantastyką mają niewiele wspólnego.

Autor, stawiając sobie za cel wyodrębnienie wątków materii społecznej i politycznej obecnych w literaturze sf, posługuje się wybranymi przykładami. Sam jednak podkreśla, iż chodzi tu jedynie o egzemplifikację jego obserwacji, poczynionych na kanwie lektury książek fantastycznych.

Najszerzej omówione zostają: *Żuk w mrowisku*, A. i B. Strugackich oraz cykl *Fundacja* I. Asimova. Na ich lekturze Hrebenda zasadza swoje tezy i wyciąga wspierające je wnioski, które następnie ekstrapoluje na inne tytuły. Swoją drogą – ciekawe, czy i jak zmieniłyby się obecnie hermeneutyka autora, dotycząca *Fundacji*, po lekturze dodatkowej trylogii Benforda, Beara i Brina.

Szkoda, że dobierając materiał źródłowy, a następnie przygotowując część analityczną opracowania, autor ograniczył jej objętość – na rzecz ogólniejszych badań nad naturą mitu oraz jego występowaniem w nauce, polityce oraz różnego rodzaju ideologiach. W efekcie bowiem, przez połowę książki, mamy do czynienia raczej ze studium socjologicznym, przepełnionym teorią i filozofią wspomnianych dziedzin. Niezmiennie mało tu samej „esencji” problemu, a więc odniesień do literatury fantastycznej; a przecież bogaty dorobek tejsze pozwala z wielką swobodą na odnalezienie odpowiednich treści.

Ciekawa jest natomiast polemika autora dotycząca paraleli pomiędzy samym mitem sensu stricto a literaturą fantastyczną. Apologia ta mile polechce wszystkich zwolenników tezy o uniwersalizmie znaczeniowym tego gatunku literatury. Inna sprawa, że autor – wyraźnie wywodząc rodowód ze zmian w fantastyce lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku i wiążąc go z ruchami kontestującymi ówczesny porządek świata – upatruje jego źródła w kryzysie mitu scjentyistycznego. Mimo to uparcie twierdzi, iż przedmiotem jego studiów jest literatura *fantastycznonaukowa*. Ani razu natomiast, w całym opracowaniu, nie pojawią się pojęcia *sociological-fiction* czy *political-fiction*.

Deliberacje nad podrzędną rolą, jaką literaturze sf&f wyznaczają krytycy i ba-dacze, stanowią pokątną część fantastycznej publicystyki. Tymczasem praca Hrebendy ujawnia, iż zainteresowanie tym gatunkiem, owszem, jak najbardziej istnieje – i to także w kręgach uniwersyteckich. Niestety, obawa uczelni przed plagiatowaniem prac naukowych, pisanych obecnie „na kilogramy”, sprawia, że dorobek ten często zostaje „utajniony”. Ile jeszcze takich prac uda się odnaleźć?

Tomasz Nowak

Mitologia społeczna w literaturze fantastycznonaukowej, Szymon Hrebenda, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000, cena 10 zł.

Z archiwum Tomka Nowaka



INTERFERENCJE

Wielu czytelników krytycznych dokonań Jerzego Sosnowskiego z zainteresowaniem oczekiwało na jego debiut literacki. Sporym zaskoczeniem okazał się fakt, iż autor wybrał dla niego formułę powieści fantastycznej, która wciąż budzi konfuzję recenzentów. Tymczasem *Apokryf Agłai* to zdecydowanie fantastyka – i to w dodatku należąca do znajdującego się w odwrocie nurtu *science*, przez co tym bardziej warto zwrócić na nią uwagę.

Głównym motywem *Apokryfu* jest wielka, niespełniona miłość. Miłość do granic szaleństwa, do obłądu, do całkowitej autodestrukcji. Jej ośrodkiem nie jest jednak „zwykła” *femme fatale* z powieści obyczajowych. Jest nią tajemnicza Agłaja (Lila? Zofia?), której osoba stanowi kręgosłup i tło tyle zawiłej, co zaskakującej opowieści o ludzkiej kondycji. Zbrodnią byłoby tu napisać, kim naprawdę jest Agłaja – i ujawnić sekret tak pieczołowicie z narastającym napięciem odsłaniany przez Autora.

Pomysł powieści zaczerpnięty został z autentycznych projektów prowadzonych przez Wielkiego Brata, przy wykorzystaniu potencjału wasali, w czasach „wszechmocy” socjalizmu. Sosnowski wychodzi jednak w swych wizjach znacznie dalej. Konstruuje intrygę istic sensacyjną, absolutnie fantastyczną. Jej motywy ożywają na nowo – wydaje się nieco już zapomniane wzorce wykreowane przez Stanisława Lema, Juliusza Verne’a czy Iana Flaminga. Sam klimat *Apokryfu* sytuuje go z kolei, gdzie blisko nastroju twórczości Poego, czy w ogóle dokonań na kanwie fantastyki przełomu wieków, a zwłaszcza dorobku rodzimego, szczególnie Stefana Grabińskiego. Jest to bowiem opowieść nieco zakurzona, jak gdyby wczorajsza, staroświecka. Co z tego, że opowiadana jest z perspektywy lat 90., podczas gdy naprawdę rozgrywa się na początku 80., a nawet wcześniejszych? Sosnowski z wielkim wyczuciem odtwarza nastrój tamtych lat, osadzając rozgrywające się wydarzenia w aż do bólu polskich realiach naszej własnej odmiany „socjalizmu PRLowskiego”. Dla podkreślenia intensywności przeżyć swoich bohaterów odrywa ich kompletnie od ówczesnej rzeczywistości politycznej. Czyni to jednak tylko po to, by za chwilę brutalnie udowodnić, że im większy jest dystans, ambiwalencja społeczna jednostki, tym łatwiej nią samą i jej nieświadomością manipulować.

Apokryf skonstruowany jest na wzór powieści anglosaskiej. Wiele tu nawiązań, odniesień, cytatów pośrednich. Ich obecność nie przeszkadza jednak w lekturze czytelnikom mniej wyrobionym. Przeciwnie, nasuwające się momentami fabularne skojarzenia z prozą Philipa K. Dicka – pozwalają odkryć inne poziomy i znaczenia.

Nieprzypadkowe jest także użycie samej formuły *sf*, sprowadzonej – w zamieszczonej na okładce opinii Olgi Tokarczuk – do odwzorowania „dziwności” świata. Sosnowski z całą stanowczością korzysta bowiem z przyłejów pisarza fantastycznego, któremu przyjęta konwencja pozwala przełamać bariery formalne i uniwersalizować przesłanie swej książki.

Wzajemne przenikanie się różnych rzeczywistości, uwarunkowań, a także rozlicznych motywów – nie tworzy poczucia chaosu. Szkatułkowa budowa powieści, odmienna optyka różnych postaci sprawiają, iż nieważne stają się w końcu imiona, nazwy miejsc. Ważne jest przeżycie i jego „nosiciel” – człowiek; człowiek zatowizowany, oderwany od społeczeństwa, od życia, który zapadły we własnym „szczęściu”, nie potrafi (nie chce?) dostrzec sztucznej rzeczywistości, jaką z ironicznym uśmiechem podsuwa mu system, rodzina, los.

Trochę szkoda chyba, że Sosnowski uległ w drugiej części książki powabowi autorskiego „prometeizmu” – i w sposób nader dosłowny wyjaśnił wszelkie niuansy i sytuacje, których szkice kazały wcześniej czytelnikowi snuć domysły, rozbudzały wyobraźnię. To jakby osobna książka – ciekawa, ale inna, odzierająca ze złudzeń, chyba niepotrzebnie.

Mimo, a może właśnie dzięki mocno akcentowanej lokalnej, polskiej specyfice oraz nieco staromodnemu stylowi *Apokryf Agłai* to książka niezwykle urokliwa, choć niewątpliwie posępna – a ostatecznie nawet ponura – w swej wymowie. Dekadencja ta jest jednak jedynie grą z czytelnikiem, który musi odpowiedzieć sobie na pytanie: czy to jedynie sympatyczna, aczkolwiek wydumana historia i czy po jej zakończeniu z powrotem rzucić się w tan z „realnością” plastikowego świata za oknem.

Tomasz Nowak

Apokryf Agłai, Jerzy Sosnowski, W.A.B., Warszawa 2001.



Z archiwum Tomka Nowaka



WIĘCEJ NIŻ OPOWIADANIE

Theodore Sturgeon znany jest głównie jako autor opowiadań. Było to główne pole jego literackiej działalności, na którym zresztą doskonale się sprawdzał - dowodem są najważniejsze w literaturze fantastycznej nagrody Hugo i Nebula, które otrzymał za krótkie formy. Dopiero po dziesięciu latach swej pisarskiej kariery Sturgeon podjął się napisania powieści. *Więcej niż człowiek*, jego najstynniejsza książka, ukazała się w 1953 roku - i jest kompozycją dwóch nowel dopasowanych do trzeciej. Niewątpliwą zasługą, jaką położył Sturgeon dla science fiction, było dopracowanie rozpoznawalnego od pierwszych zdań pisarskiego stylu. Nawet podejmując, ograne zdawałoby się tematy - ujmował je w pięknych, poetyckich i plastycznych opisach, które stawiają tego autora w gronie największych twórców science fiction. Całkowicie zasłużenie. *Więcej niż człowiek* znalazło się w gronie książek wybranych przez Wojtka Sedeńkę do Kanonu Science Fiction - tytułów starszych, nieznanym polskim czytelnikom, a znaczących dla literatury SF.

Więcej niż człowiek jest opowieścią o grupie osobników nie mieszczących się w tzw. normach, głównie ze względu na niezwykle przymioty psychiki i umysłu. Wszyscy oni łączą swe uzdolnienia w jedną osobowość, która dzięki temu zdolna jest dokonywać osiągnięć niezwykłych. Nim ta wspólnota może zaistnieć - jej uczestnicy muszą przełamać wzajemną nieufność i niechęć, a przede wszystkim muszą pokochać się nawzajem. Tu dochodzimy do tematu, który nurtował Sturgeona w całej jego twórczości: przekonania, że jedynym zbawieniem dla ludzkości jest miłość.

Autor był głęboko przekonany, że pełnia człowieczeństwa jest dla nas nieosiągalna ze względu na niezdolność do miłości. Inaczej rzecz ujmując - nasze oddanie się miłości pozwoliłoby nam stać się więcej niż ludźmi. Homo sapiens to, według Sturgeona, tylko jeden ze szczebli ewolucji ludzkiego gatunku. Przełamanie nieufności, uznanie dla odmienności, kryjącej w sobie często nieprzeciętne uzdolnienia i moce, i wreszcie wzajemna miłość - to droga do kolejnego stopnia rozwoju: homo gestalt. Sturgeon ukazuje owego homo gestalt jako istotę wyższego rzędu, której składnikami są homo sapiens o psychicze zdolnej m.in. do teleportacji, hipnozy, telepatii. Rozwój gatunku ukazany jest jako ewolucja, naturalny proces, niezależny od cywilizacyjno-technologicznych wpływów. Autor bardzo umiejętnie przedstawia relacje homo gestalt z ludzkością, podkreślając problemy moralności i władzy, jaką dysponowałby taki 'nadczołowiek'.

Wielkie wyrazy uznania należą się Wojtkowi Sedeńce za to, że przedstawił (o przypominaniu raczej mowy być nie może, bo - poza kilkoma opowiadaniem - to autor w Polsce nieznanym) polskim czytelnikom Sturgeona. *Więcej niż człowiek* dowodzi, iż był to pisarz potrafiący we wspomnianym już, charakterystycznym, lekkim i przykuwającym uwagę stylu, oddać wielce oryginalne pomysły. O inteligencji i sprawności warsztatowej autora świadczy także ciekawy zamysł narracyjny, umiejętnie prowadzący czytelnika przez historie licznych bohaterów powieści.

Dobrym słowem należy też wspomnieć o tłumaczkę, Joli Pers, która doskonale sprostała niełatwemu zadaniu oddania literackiego stylu Sturgeona, z całą jego wrażliwością i niuansami.

Niewątpliwie *Więcej niż człowiek* to książka wyróżniająca się w zalewie fantastycznej pulpy, która swą sztafpownością, wtórnością i stylistycznym niechlujstwem może odstraszyć najzagorzalszego fana fantastyki. Inicjatywa SOLARISU, by sięgnąć po starsze tytuły – choćby te ze Złotego wieku amerykańskiej SF – dowodzi, że polscy wydawcy i czytelnicy mają jeszcze spore zaległości do nadrobienia. Potrzeba tylko odwagi, by zamiast n-tego prequela kolejnej części tasiemcowej sagi – zaproponować tak ciekawą i wartościową książkę, jak powieść Sturgeona. Wierzę, że Wojtek Sedeńko i jego SOLARIS uraczą nas jeszcze niejednym „kosmicznym rodzynkiem” z kanonu science fiction. A może i innych wydawców skłoni to, by uważniej spojrzeć w przeszłość?

Andrzej Hudowicz

Theodore Sturgeon *Więcej niż człowiek*, Kanon Science Fiction, SOLARIS,
Olsztyn 2001



PLAN NIEOSWOJONY

Podczas lektury opasłego tomiszcza, jakim jest *Kątem oka*, trudno oprzeć się wrażeniu, że to i owo gdzieś już było. Obdarzony nadnaturalnymi zdolnościami chłopiec, który traci wzrok; manifestacje zaświatów, uderzająco przypominające te z „Uwierz w ducha” z Patrickiem Swazye; bohater szukający spokoju (a może sensu życia?) w wędrowaniu przed siebie – wszystko to już znamy. Koontzowi udało się jednak niełatwa sztuka stworzenia zgrabnie zbudowanej i interesującej opowieści ze znajomych elementów. Bez wątpienia rzecz nie prezentowałaby się tak dobrze, gdyby autor nie uczynił z mniej lub bardziej ogranych motywów środka do przedstawienia swojej własnej (oryginalnej? być może w pewnym stopniu) wizji.

Cała powieść zbudowana jest na głębokim przeświadczeniu, że wszystko ma swój sens i cel – (wszech)światem rządzi doskonały Plan, a przypadek jest złudzeniem niepotrafiącego wnikać w istotę rzeczy, kalekiego ludzkiego umysłu. Wychodzi na to, że teoria kwantowa jest po prostu jeszcze jednym z dowodów perfekcyjności Boskiego zamysłu – którego nie rozumiemy. No cóż...



„Żaden dzień w czymkolwiek życiu [...] nie przebiega bez wydarzeń, nie bywa pozbawiony głębokiego sensu, bez względu na to, jak nudny i męczący może się wydawać, czy jest się szwaczką czy królową, pucybutem czy gwiazdą filmową, szanowanym filozofem czy dzieckiem z zespołem Downa. Każdego dnia w życiu ma się bowiem niejedną okazję wyświadczenia drobnych przysług innym, zarówno poprzez świadome działanie, jak i nieświadomy przykład. Każdy najmniejszy akt dobroci [...] ma sięgające daleko w czas i przestrzeń konsekwencje; wpływa na życie ludzi nieznanymi temu, którego szczodra dusza jest źródłem owego dobroczynnego echa. [...] Tak samo dzieje się z każdym złym postępkim, z każdym bezmyślnym dowodem nienawiści, każdym aktem

zawiści i goryczy” – tak rzecz ujmuje jeden z bohaterów w swoim kazaniu, które zresztą odegra niebagatelną rolę w rozwoju wydarzeń. Koncepcja ta robi za spoiwo, które znajomym motywom nadaje nową wartość, wykorzystując je dla swoich potrzeb.

Mocną stroną powieści są patologiczne kreacje bohaterów. Co najmniej cztery charaktery nacechowane są w jakiś sposób „nienormalnością” – co czyni je zdecydowanie bardziej interesującymi od reszty. Z wielu postaci, jakimi Koontz zaludnia świat swojej powieści, na czoło wysuwa się Enoch Junior Cain – bezwzględny egoista, opętany obsesją specyficznym pojętego samodoskonalenia w duchu idei swego mentora Caesara Zedda, autora serii

poradników pełnych pseudonietzscheańskich koncepcji mocy i egotyzmu. To Cainowi przypada pierwszoplanowa rola w budowaniu intrygi – i wywiązuje się z niej wzorowo. Choć pozornie nierzeczywisty, naprawdę okazuje się być jednak przerażająco konkretny w swoim szaleństwie, w które przyjdzie mu się coraz bardziej staczać. Jednocześnie jego losy wydają się być idealną egzemplifikacją autorskiej koncepcji wszechświatowego (kosmicznego?) powiązania pozornie nieprzystających cząsteczek rzeczywistości, powiązania sięgającego niejednokrotnie głębiej, niż ludzkie oko może dostrzec – i dochodzącego do głosu w zdumiewających okolicznościach.

Obsesyjne miotanie się Caina w jego dążeniu do usunięcia wszelkich przeszkód na drodze do samodoskonalenia i świetlanej przyszłości – przede wszystkim obdarzonego/obarczonego niespotykanymi talentami chłopca; zagrażającego mu w niezrozumiały dla Enocha, dlatego tym bardziej przerażający sposób – intryguje, wciąga, zdumiewa: ale i bawi, dzięki na poły ironicznemu spojrzeniu narratora, jakim ten obdarza swojego bohatera. W ogóle styl Koontza daje w lekturze sporo satysfakcji: barwny, wyrazisty, nieunikający obrazowych (czasami zaskakujących) porównań i metafor, nie naraża czytelnika na obcowanie z prymitywną słowną papką – a z drugiej strony, nie popada w drażniącą egzaltację.

Oponentem Caina w grze o życie dziecka jest Tom Vanadium, były ksiądz, który – utraciwszy wiarę – zamienił koloratkę na policyjną odznakę. Stosujący niekonwencjonalne metody, niesamowicie skuteczny detektyw będzie deptał mordercy po piętach – i nie wystarczy jedna konfrontacja, by rozstrzygnąć pojedynek. Konflikt zdeterminowanych przeciwników przybierze zaskakujące formy...

Akcja nie gna do przodu; rozwija się spokojnie, bez pośpiechu, unikając taniej dynamiki i tempa, niebaczącego na logikę wydarzeń. Nie znaczy to wcale, że rzecz jest nudna – przeciwnie: stonowanie akcji pozwala głębiej wniknąć w kreowany w powieści świat i mocniej się z nim związać. Czytelnik tylko na tym korzysta.

Nie sposób jednak nie zgłosić pewnego „ale”.

Kątem oka ma być, według wydawcy, horrorem. Veto! Powieść intryguje, zaskakuje, wciąga – ale nie przestrasza. Duchy, nadnaturalne zdolności, morderstwa i wypadki samochodowe, mimo swej obecności – nie tworzą jeszcze tej szczególnej atmosfery lęku i niesamowitości, jaką spotykamy choćby u Kinga czy Lovecrafta. Koontz tak konstruuje fabułę, że wszystkie „nieziemskie” elementy, chociaż obce, wydają się nieoswojone raczej, niż zupełnie wykraczające poza ludzkie pojmowanie. A w takim oświetleniu elementy te nie mogą budzić strachu – jedynie ciekawość. Znacznie bliżej tu do psychologicznego thrillera niż horroru (w klasycznym tego słowa znaczeniu).

Krótko mówiąc – dobra książka.

Marek Pustowaruk (www.gildia.com)

Dean Koontz „Kątem oka”. Prószyński i S-ka. Stron 580, cena detaliczna 44 zł.

Tytuł od redakcji.



SCIENCE

sans

FICTION

ASTRONOMIA:

TRZYDZIESTOLECIE - OSTATNIM "OKRĄGŁYM" JUBILEUSZEM GKF?

Jak donoszą specjaliści z NASA – 1 lutego 2019 roku przetną się orbity Ziemi i asteroidy 2002 NT7.

Prawdopodobieństwo, że przy okazji dojdzie do zderzenia obu tych ciał niebieskich, wynosi jeden do miliona; ale to – w realiach astronomicznych – bardzo realne zagrożenie!

Jeśli masa przekraczająca 8000 razy meteoryt tunguski uderzyłaby w Ziemię z prędkością 28 kilometrów na sekundę – bezpośrednio trafiony kontynent przestałby istnieć, a zmiana klimatu byłaby globalna.

Pozostaje doprecyzowywać obliczenia i... biernie czekać: na zorganizowanie skutecznej obrony jest już (przy naszym poziomie technologicznym) zbyt mało czasu.

Cóż... Ja sześćdziesiąte urodziny jeszcze zdążę wyprawić (a nawet wyleczyć kaca)...

Jean-François

/wg: „GW”, 25.VII.02 r./

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR # 158

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

E-MAIL: gkf @ gkf.3miasto.pl

STRONA: www.gkf.3miasto.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski,

Grzegorz Szczepaniak (red. odpow.), Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: Marek Dąbrowski (3, 8, 13, 14, 23, 25), Piotr Terszel (28)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 10201853–237451–270–1

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji